

Biali niewolnicy

11 grudnia 2014

Kiedy Europejczycy po raz pierwszy zaczęli osiedlać się w Ameryce, ta była światem, który wolnym i pracowitym ludziom zapewniał nieograniczone możliwości. Prawda? Nieprawda. Pierwsze angielskie kolonie na tej ziemi opierały się na niewolnictwie. Białych Anglików i Irlandczyków przywożono tam tysiącami i zmuszano do wyniszczającej pracy na plantacjach.

„Większość obrazów wczesnej Ameryki przedstawia ją jako ogród możliwości i wymazuje z obrazu terminowych służących, skupiając się za to na mniejszości, która przybyła tam wolna” – pisał amerykański historyk Gary B. Nash. Owi „terminowi służący” (tutaj brak dobrego tłumaczenia dla „intendured servants”) wbrew nazwie nie byli pracownikami. Byli to niewolnicy, których specjalny status polegał jedynie na tym, że mogli liczyć na to, iż po określonym czasie staną się wolni. Była to jednak ułuda, ponieważ niezwykle rzadko ktoś dożywał końca „terminu”.

Cały system był pomyślany tak, by na nowo powstałych plantacjach Ameryki Północnej oraz Karaibów nie zabrakło jak najtańszej siły roboczej. Zatrudnienie opierało się na oddaniu siebie w „terminową służebność”, co w istocie oznaczało, że na pewien czas – standardem było tutaj siedem lat i więcej – stawało się własnością plantatora i było traktowanym jak jego majątek. Za pracę nie należała się żadna zapłata, a jedynie wikt, który zapewniał, że taki człowiek nie umrze zbyt szybko, bo to oznaczało finansową stratę. „Terminy” często wydłużały się ponad miarę i tylko nieliczni dożywali ich końca. Śmiertelność sięgała – a w niektórych miejscach przekraczała – 90 proc.

KIM BYLI BIALI NIEWOLNICY?

W rzeczywistości ci służący niczym nie różnili się od

niewolników. Tracili wolność osobistą i stawali się ruchomością właściciela. Sprzedawano ich i kupowano. Dokonywano zwrotów i reklamacji. Zapisywano w testamentach i dziedziczono. Kiedy umierali, przywożono kolejnych. Tych nie brakowało, bo w ówczesnej Anglii była cała rzesza tzw. ludzi zbędnych, dla których nie było ani pracy, ani dachu nad głową. Niekończącym się źródłem niewolnych była też Irlandia, której mieszkańców traktowano z pogardą i uznawano, że należy im się status podludzi.

Ludzi zbędnych nie brakowało, ponieważ w XVI wieku Anglia przeżyła coś w rodzaju boomu demograficznego. Stała za tym sprzyjająca koniunktura i niezłe zbiory, które rejestrowano przez niemal całe stulecie. O ile królestwo Henryka VIII liczyło 3 mln ludzi, to już Elżbieta I, umierając, zostawiała populację czteromilionową. Gospodarka nie nadążała za tym wzrostem i nie mogła im nic zaoferować. Do tego wzrost populacji był wynikiem sprzyjających okoliczności, a nie na przykład zmiany technologicznej, która pozwoliłaby wyżywić ją w gorszych czasach. Kiedy te przyszły – a stało się to w ostatniej dekadzie stulecia, gdy przez pięć lat z rzędu deszcz niszczył plony i zapanował głód – sprawy przybrały dramatyczny obrót. Geograf Richard Hakluyt pisał: „Ludzie są gotowi jeść siebie nawzajem”. Kraj wypełnił się zdesperowanymi rozbójnikami, żebrakami, złodziejami i... dziećmi, które rodzice porzucali, nie mogąc zapewnić im bytu. Jednocześnie Anglia rozpoczęła budowę zamorskiego Imperium. To powstawało za pośrednictwem spółek handlowych, a jedną z najważniejszych była Virgina Company, którą założono w celu kolonizacji północnej Ameryki. Początkowo myślano, że podstawowym bogactwem będzie tam złoto, ale z czasem okazało się, że większym jest płodna ziemia, która pozwalała uprawiać tytoń oraz trzcinę cukrową. Jedno i drugie już wkrótce miało osiągnąć wysokie ceny na europejskich rynkach, a jedyny problem stanowiło znalezienie tanich pracowników na nowe plantacje.

Rozwiązał się on za sprawą wspomnianych ludzi zbędnych. Wysoka przestępczość oznaczała, że więzienia pękały w szwach. Dotąd problem rozwiązywano, zwiększając liczbę egzekucji. Na poważnie rozważano nawet, czy najlepszą metodą nie byłoby przekazywanie więźniów w niewolę turecką. Ludzie związani z Kompanią Wirgińską argumentowali, że lepiej wykorzystać ich w inny sposób – wywożąc do przymusowej pracy na plantacjach. Król się na to zgodził, zaznaczano jedynie, że „ich służebność musi być karą gorszą niż śmierć”. Robiono, co się dało, by nadać tym słowom sens. Obok skazańców do Ameryki płynęły też dzieci uliczne. Tych było wówczas pełno. Porzucone przez rodziców, utrzymywały się z żebractwa, kradzieży i prostytucji. Najwięcej było ich w Londynie, a poszczególne parafie wyłapywały je i podrzucały sąsiadom – do czasu aż w Bridewell stworzono przytułek-więzienie, w którym dzieciaki umieszczano, by czekały na transport do kolonii. Teoretycznie miały się tam uczyć zawodu. W praktyce nie miało to znaczenia, bo – poza pojedynczymi przypadkami – niemal nigdy nie dożywały wyzwolenia.

Jednak ci przymusowi emigranci to nie wszystko. Byli też dobrowolni. W ich przypadku odbywało się to tak, że sprzedawali się – na okres od kilku do kilkunastu lat – w zamian za pokrycie kosztów podróży do lepszego życia. Tych była cała rzesza, bo – przynajmniej początkowo – Virginia miała całkiem niezły wizerunek, ale z czasem coraz więcej osób było po prostu porywanych i zmuszanych do podpisania kontraktu. Zajmowali się tym ludzie, których nazywano „duchami”, a to dlatego, że żywych zmieniali w zjawy. Celem mógł być każdy, a w epoce, w której nie istniała praktycznie żadna możliwość skomunikowania się na taką odległość, po takim porwaniu w zasadzie nikt się już nie odnajdywał. Rząd przymykał na to oko, bo było mu z tym wygodnie – problem przeludnienia się zmniejszał. Szczególnie ceniono ludzi w wieku od 10 do 25 lat i kobiety, których w koloniach nieustannie brakowało. Były nawet firmy, które zajmowały się dostarczaniem partnerek dla plantatorów. O ich wartości

świadczy cena: dziecko kosztowało 20 funtów tytoniu, a młoda kobieta 120 funtów.

Ludzką falę, która płynęła przez Ocean Atlantycki, uzupełniali Irlandczycy. Tych w XVII-wiecznej Anglii traktowano jak podludzi, a wszystko zbiegło się też z serią powstań, po których ludzi karnie zsyłano do kolonii – najczęściej na Barbados. Trafić można tam było za niemal każdy opór wobec angielskiej władzy. Na przykład taki, że nie chodziło się do protestanckiego kościoła, co było wymagane jako wyraz lojalności wobec Londynu. Zwykle karą za to były wysokie grzywny, ale kiedy ktoś nie mógł ich zapłacić, to musiał je pokryć, sprzedając się w niewolę na okres... od kilku do kilkunastu lat. W ten sposób do Ameryki trafiły tysiące ludzi. Oliver Cromwell zasilął zresztą kasę państwa, sprzedając licencje na wyłapanie i wywóz określonej liczby mieszkańców Zielonej Wyspy. Warunek był w zasadzie jeden: musieli być katolikami.

CIEŻKIE ŻYCIE STAREGO JOHNA

Los, który czekał tych białych niewolników, był niezwykle ciężki. Stawali się własnością swoich panów i byli traktowani jak robocze zwierzęta. Czasami gorzej. Starano się, by nie odzyskiwali wolności. Zrobiono to, wprowadzając specjalny system kar – opisano go w Ustawie o Prawach Panów i Niewolników stanu Virginia z 1661 r. – i za każde naruszenie obowiązków dokładając kolejne lata do odpracowania. Dla przykładu: za zawarcie małżeństwa podczas „terminu” przybywały 4 lata, za spłodzenie dziecka – 3 lata, za kradzież chleba – 2 lata, a za zniknięcie z plantacji bez pozwolenia... 1 rok za każde dwie godziny. I tak dalej... To prawo było zresztą pierwowzorem późniejszego kodeksu czarnego niewolnictwa.

Sytuacja pogarszała się z roku na rok, o czym przekonuje statystyka. O ile na samym początku istnienia plantacji, gdy wśród pracujących byli jeszcze ludzie wolni, średnia „wydajność” robotnika wynosiła 400 funtów tytoniu rocznie, to

80 lat później było to już funtów 1900. Był to wynik osiągnięty bez żadnych zmian w technologii, a więc tylko poprzez zwiększenie wydajności pracowników. Jednak to tylko statystyka. Często więcej mówi anegdota. Wśród dzieci, które przypłynęły do Virginii w pierwszych transportach, znalazła się niejaka Elizabeth Abbott. Dziewczyna była sprytna i rezolutna, i należała do nielicznych, którzy dożyli dorosłości. Młoda kobieta miała niezależną duszę i niespecjalnie lubiła poddawać się kontroli panującej na plantacjach. Znikała od czasu do czasu, a właściciele starali się ją tego oduczyć. Pewnego dnia zarządzili karę w postaci 500 batów, którą miał wykonać jeden z jej przyjaciół. Było to równoznaczne z wyrokiem śmierci. „Elizabeth odczołgała się z plantacji i zmarła na sąsiadującej z nią działce. O charakterze służebności w Virginii wiele mówi, że nawet kiedy leżała tam umierająca, to sąsiad, który się do niej pofatygował, zaoferował, że weźmie ją z powrotem, by mogła przeprosić właściciela za swoje zachowanie” – pisali Don Jordan i Michael Walsh w doskonałej książce „White Cargo”. Plantatorzy musieli tłumaczyć się przed sądem, ale uniewinniono ich z zarzutu nadmiernego okrucieństwa, tłumacząc, że była to kara umiarkowana.

Wiele szczegółów życia na plantacjach ujawniła też będąca wielkim skandalem afera Henry’ego Smitha. Choć – tak to często bywa – zaczęło się nie od współczucia dla bezlitośnie bitych i poniewieranych niewolników, a skandalu obyczajowego. Trzeba pamiętać, że Virginia w tym okresie była na wskroś purytańska, a głową można było odpowiadać nawet – przynajmniej w teorii – za uparte niechodzenie do kościoła. Dlatego sensacje łóżkowe miały sporą siłę rażenia, choć – to także znaczące – na przykład gwałtów na służących nie uznawano za jakikolwiek problem. Henry Smith był bogatym plantatorem, który dorobił się na przewożeniu ludzi z Wysp do kolonii. Urządził się w Virginii, a jego słabością były kobiety. Kochanki dobierał sobie spośród niewolnic lub służących, a jedną z nich była Elizabeth Carter. Traf chciał, że ta zaszła z nim w ciążę i

urodziła. Jednak zaraz po porodzie zabiła dziecko i trafiła za to przed sąd. Tam opowiedziała, że należało ono do Smitha, a opowieść okrasiała licznymi szczegółami dotyczącymi jego życia łózkowego. Opowiedziała o gwałtach, nietypowych upodobaniach, a nawet o manage a trois, w którym uczestniczył on, ona i siostra jego żony.

Za gwałt i morderstwo Smith wprawdzie nie odpowiedział – to byłby niebezpieczny precedens – ale skazano go za naruszenie porządku publicznego i musiał zapłacić 500 funtów tytoniu. Jednak sprawa nie skończyła się w ten sposób i kolejni służący zaczęli składać na niego skargi. Wśród zachowanych historii jest i taka, której bohaterem był Stary John. Był to człowiek mniej więcej 60-letni, którego ciało przestało nadążać za wymaganiami życia na plantacji. Starość nie była jednak wymówką, którą Smith mógł uznać. Kiedy mężczyzna ukradł... kromkę chleba, właściciel wymierzył mu karę. Tą było 50 batów na nagie ciało, zakucie w łańcuchy oraz dodatkowa praca. Człowiek przeżył trzy tygodnie, po których zakopano go w bezimiennym grobie. Jak setki tysięcy innych.

* * *

Fala niewolników płynęła z Wysp do Stanów Zjednoczonych aż do końca XVIII wieku. Skończyła się dopiero w kilka lat po tym, jak USA wygrały wojnę o niepodległość. Zdecydowała nie tylko polityka, ale też ekonomia – z czasem czarni niewolnicy z Afryki stali się po prostu tańsi od białych z Wysp. Jednak wcześniej – to znów Jordan i Walsh – „to, co działo się z białymi skazańcami po ich przybyciu do Nowego Świata, było tym samym, co działo się z Afrykanami. Jedni i drudzy byli reklamowani na sprzedaż, poddawani inspekcji i w łańcuchach zabierani przez nowych panów lub pośredników. Innych służących, poza łańcuchami, sprzedawano w ten sam sposób”. Ludzi znacznie bardziej dzieliło bowiem wówczas nie to, że byli biali i czarni, ale to, że byli bogaci lub biedni.

Autorstwo: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)